

Mateusz CIEŚLIK

beYA

DeLEGACJA
do Spraw
BEZnadziejNYCH

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Natalia Kostka

Korekta: Sylwia Zazulak

Zdjęcie na okładce i wewnątrz książki wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://beya.pl/user/opinie/dedosp>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0305-0

Copyright © Mateusz Cieślík 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



ROZDZIAŁ I

Ale ostatnie

Ćma trzepotała skrzydełkami, przemykając pomiędzy zapelnionymi regałami. Wyłaniała się z mroku, by skąpać się w blasku dziennego światła wlewającego się przez drzwi prowadzące na balkon, by po chwili znów stać się niewidoczną. Sara wpatrywała się w nią tęsknie. Ten widok wydawał jej się bardzo intrygujący.

Dziewczyna odwróciła wzrok, gdy pani Wanda posłała jej słaby uśmiech. Przez chwilę patrzyły na siebie, po czym obiektem zainteresowań Sary znów stała się ćma.

— Wszystko w porządku, kochanie? — zapytała terapeutka, z twarzy której nie znikająca troska.

Kos nie odpowiedziała od razu. Wzdrygnęła się, gdy pojęła, że pytanie to było skierowane do niej, mimo iż w pokoju nie było nikogo innego.

— Tak — ucięła.

Sprawiała wrażenie spokojnej i zadumanej, mimo że ta sytuacja doprowadzała ją do szaleństwa. Słyszała to pytanie zbyt wiele

razy, by poczuć się lepiej. Wszystko w nadmiarze może zaszkodzić — nawet troska.

— Tak, to naprawdę ładna ćma — zaśmiała się pani Wanda, gdy pojęła, że dziewczyna jest bardziej zainteresowana owadem niż nią.

Wydęła usta i poprawiła kosmyk blond włosów, który co rusz przysłańiał jej prawe oko. Nie sposób było odmówić kobiecie szyku. Garsonka, w którą była ubrana, biła po oczach logo znanej marki.

Wróciła do wypisywania notatek. Pisała zamasyście dużym piórem. Sarze zdawało się, że zaraz zostanie nim smagnięta po twarzy.

— Zatem... jak się dzisiaj czujesz, Saro?

Dziewczyna zawahała się, po czym wzięła głęboki wdech, spojrziała na kobietę i odparła:

— Dobrze.

Miała ochotę jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Grzecznie skinęła głową i ćma znów przykuła jej uwagę.

— Może rozwiniiesz tę myśl?

— A co tu rozwijać? Dobrze znaczy dobrze.

— Jak ci się sypia?

Sara doskonale pamiętała, co wydarzyło się w jej rodzinnym domu. Odtwarzała w głowie obrazy, jakby to wszystko miało miejsce zaledwie wczoraj: tłum pracowników urzędu, Hugona Reya ciągnącego za rogi Kerekesza po podłodze, akademika Petroniusza klęczącego nad ciałem jej brata i mamę... kobietę zimną i martwą jak lód.

Choć minęło już tyle miesięcy, wspomnienia Sary przewijały się jak w kalejdoskopie. Jakby oglądała jakiś stary film, cały czas ten sam, w którym obraz śnieży, a ekran co rusz przecinają białe paski.

W nocy nawiedzały ją koszmary. Nieraz zdawało jej się, że Augustyn stoi nad jej łóżkiem, gotów zadać ostateczny cios lub

pomoczyć ją jeszcze przed śmiercią. Niejednokrotnie przebudzała się cała spocona, bliska płaczu i z niemożnością złapania oddechu. Ten bezdech był chyba najgorszy. Nawet największemu wrogowi nie życzyłaby czegoś takiego.

Na szczęście zawsze wtedy był przy niej stary pan Brzoska. Spoglądał na nią swymi mysimi oczami, brał gazetę, siadał na bujanym fotelu obok jej łóżka i czytał do czasu, gdy ponownie usnęła.

— Jak ci się sypia, Saro? — powtórzyła pytanie terapeutka, wyrwijąc dziewczynę z zadumy.

— Dobrze, pani Wando.

Kobieta zaśmiała się i machnęła ręką.

— Oj, tyle razy ci powtarzałam, nie musisz być tak oficjalna.

— Dobrze, przepraszam.

— Nie musisz przeproszać.

Sara nie musiała, ale zrobiła to, bo miała nadzieję, że dzięki temu terapeutka da jej już dziś spokój.

— A jak z twoimi atakami paniki?

— Przez cały tydzień nic.

— Zero?

— Zero bezwzględne.

Terapeutka zachichotała, jakby dziewczyna opowiedziała najzabawniejszy dowcip świata.

— „Zero bezwzględne”, a to dobre, pozwalasz sobie na żarty, to wspaniale. Widzisz, kochanie, terapia przynosi efekty.

Sarze przed oczami mignęła poprzednia noc. Jak leżała na podłodze, w pozycji embrionalnej, i zwiwała się z bólu. Miała wrażenie, że Kerekesz, kozioł o wielkich zakręconych rogach i ciężkim oddechu, stoi nad nią i próbuje ją udusić, a jego pokracczne ciało rzuca cień na ścianę. Pragnęła tylko mieć pod ręką opakowanie tabletek. Gdyby tylko miała benzodiazepiny, byłoby łatwiej.

O tę odrobinę prościej.

Jej rodzinne miasto Czerno staowało się jakimś rozmytym wspomnieniem, ulica Barska w Krakowie, przy której stał urząd, również. Całe jej dotychczasowe życie wydawało się jednym wielkim wspomnieniem, wydarzeniem minionej epoki, które w jakiś sposób zapisało się w dziejach. Takie, o którym każdy wie, ale nikt nie rozmawia.

— Czy w twoich wspomnieniach pojawia się jeszcze ten chłopak, o którym mi opowiadałaś? Aron Wysocki? — Nie dawała za wygraną pani Wanda.

Sara poderwała się z krzesła i podbiegła do szafy.

— Przepraszam, ale muszę wygonić tę ćmę. Nie mogę się przez nią skupić.

Po czym odsunęła firanki i z uporem maniaka próbowała pozbyć się z pomieszczenia owada. Poniewczasie zrozumiała, że jest to zadanie znacznie trudniejsze.

— Saro... — westchnęła pani Wanda, opierając skroń na lewej dłoni.

Jednak dziewczyna nie reagowała, jakby nagle ogłuchła.

— Saro, zostaw tę ćmę. Porozmawiajmy.

— Zaraz, tylko muszę...

— Saro?

— Tak?

— Saro Kos.

— Co?! Czego ode mnie chcesz?!

Pomieszczenie wypełniła drętwa cisza, a atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

Kobieta pochyliła się nad notesem i naskrobała w nim kilka linijek tekstu.

— Dobrze, zatem o Aronie Wysockim nie rozmawiamy. Zapisalam.

Sara gdzieś tam wewnątrz czuła do niego żal, że nie pokusił się o kontakt z nią. W jej głowie tliła się nadzieja, że chłopak przełamie się i przyjedzie ją odwiedzić na to cholerne odludzie, porozmawiać, przytulić... Choćby na moment. Przecież przeżyła z nim tak wiele. Przemierzyli krakowskie kanały, rozwiązali sprawę Omara Pernusa, gościli w kasynie pod Wawelem. Przecież nawet o mały włos nie zginęli, gdy próbował ich porwać rwący nurt ścieków.

Zastanawiała się, czy on jeszcze o niej pamięta. Czy czasami zadaje sobie trud wspomnienia kogoś takiego jak Sara Kos. Kogoś, kto żył, ale z pewnością od roku dla niego nie istniał.

Gdy zdała sobie sprawę, że nie uda jej się wygonić ćmy chociażby na korytarz, wróciła na krzesło i posłała pani Wandzie porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciała przez to powiedzieć, że jest gotowa rozmawiać.

Pokój był duży. Ściany pachniały stęchlizną i były pokryte obrazami, z których większość nie przedstawiała wizerunku anima, a była zwykłymi pejzażami. Biała jak śnieg firanka falowała delikatnie pod wpływem niewielkich podmuchów wiatru.

Całą przeciwległą ścianę pokrywał masywny regał na książki wypełniony po brzegi. Regał ten okazał się dla Sary zbawienny, gdyż spędzanie czasu z bohaterami powieści stało się dla niej jedyną rozrywką, na jaką mogła sobie pozwolić. W domku na końcu świata nie było elektroniki. Telefonu też nie miała, więc większość czasu mijała jej na wertowaniu pozółkłych kartek. Nie mogła w żaden sposób kontaktować się ze światem zewnętrznym. „Musisz przestać istnieć” — powiedział rok temu Petroniusz Weroniczem, akademik krakowskiego oddziału, gdy go po raz ostatni widziała. I w rzeczy samej — przestała istnieć. Zaraz po tych słowach mysie

małżeństwo Brzosków kazało jej się spakować. Jeszcze tego samego dnia zbiegła po schodach do leciwego już mercedesa i została wywieziona do domu pośrodku niczego. Ciągące się aż po horyzont pola, przemarznięta ziemia uprawna, kilka drzew, przy których stał drewniany dom mający swoje lata świetności już dawno za sobą, sporych rozmiarów ogródek z warzywami za nim i wielki dąb, który był najbardziej charakterystycznym punktem w okolicy. Chata wyglądała tradycyjnie. Nie była zaniedbana, ale gdzieś tam bezlitosne oddziaływanie czasu dawało już się we znaki. Spore okna i czerwony dach (a przynajmniej taki był, zanim wyblakł) przywozdiły na myśl typowy wiejski domek, a ogromny taras na piętrze tylko dodawał całości uroku, którego jednak od dawna Sara nie dostrzegała.

— Saro, możemy kontynuować? — spytała pani Wanda, poprawiając okulary na nosie.

— A możemy dzisiaj wyjątkowo skończyć wcześniej? Źle się dzisiaj czuję.

— Co ci dolega?

— Boli mnie...

— Saro, ja mogę sobie pójść, ale co dalej? Pamiętasz, co próbujemy tu zrobić?

— Próbujemy mi pomóc — wyrecytowała.

— Dokładnie tak, próbujemy pomóc.

Dziewczyna przygryzła wargę.

— Pani Wando, właśnie, odnośnie do pomocy, gdyby mi tak pani przepisała jeszcze jedno opakowanie...

— Nie mogę.

— Gdyby tak...

— Nie — ucięła stanowczym tonem i wyprostowała plecy, by jej postawa była adekwatna do zajmowanego stanowiska. —

Rozmawialiśmy już o tym, tak? Możemy wspomagać terapię długofalową przy pomocy leków z grupy SSRI, ale nie przepiszę ci kolejnych środków uspokajających. Przecież wiesz, co oznacza zwiększona tolerancja. Żeby uzyskać ten sam efekt, musisz brać coraz więcej. Cały czas uważam, że najlepsze owoce przyniesie nasza terapia poznawczo-behawioralna. Jestem w kontakcie z Petroniuszem. On jest całkowicie przeciwny farmakologii. Proponował, by zamiast tego do procesu leczenia włączyć dyskrypty.

— Ale to by było po raz ostatni. Niech to zostanie między nami.

— Rozbrajasz mnie, dziewczyno. Nie. I proszę, nie każ mi powtarzać. Czy możemy zatem kontynuować?

— Nie szkoda pani paliwa, żeby tu tak dojeżdżać? To na pewno kawał drogi na takie odludzie — odgryzła się.

— Urząd do Spraw Dziwnych pokrywa wszystkie koszty, moja droga. I to z nawiązką. — Ściągnęła brwi. — Powtórzę zatem pytanie: czy możemy kontynuować?

Sara skinęła głową, choć wszystko w niej zdawało się krzyżeć, by to przerwać.

— Opisz mi, co teraz czujesz, gdy myślisz o bracie — kontynuowała terapeutka.

— Myślę tylko o tym, że najbardziej na świecie chciałabym go zobaczyć.

— A o ojcu?

Pan Kos. O dziwo, myśl o tym mężczyźnie nie spędzała jej już snu z powiek. Tak wiele lat zadręczała się nim, a teraz? Teraz nie poświęciłaby mu większej uwagi. Zdawało jej się, że nienawiść do niego odeszła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale zarazem nie potrafiła mu wybaczyć i żyć tak, jakby nic się nie stało. Utknęła gdzieś pośrodku i chyba nawet nie czuła potrzeby, by cokolwiek zmieniać. Tak pośrodku było OK.

— Nie wiem — odparła po chwili.

— To znaczy?

— Nie wiem to znaczy nie wiem. Nie rozumiem, czego ode mnie pani oczekuje. Nic do niego nie czuję.

— Nic to nie to samo co nie wiem, prawda? Kiedyś go nienawdziłaś, pamiętasz? To duża zmiana. Zaczynasz kwestionować rzeczywistość. Zmieniasz schematy myślenia, które doprowadzały cię do tego stanu, w którym byłaś. Na tym to polega. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jesteśmy na dobrej drodze.

Sara przemierzała w głowie lata świetlne, by znaleźć odpowiednie słowa, które przekonają panią Wandę, by przepisała jej jeszcze jedno opakowanie.

— Wiem, że to dla ciebie trudne — ciągnęła kobieta — powiedziała na początku, że uszanuję twoją prośbę, ale minęło tyle czasu. Może to odpowiedni moment, byśmy porozmawiały o twojej mamie?

Aniela.

Dziewczyna poczuła, jak całe jej ciało zastyga w bezruchu, po czym przypadkowo przewróciła filiżankę kawy z okrągłego stolika obok. Napój rozlał się po dywanie. Pani Wanda podskoczyła, jakby zobaczyła ducha, i położyła prawą dłoń na piersi. Uśmiechnęła się po chwili z ulgą i zmierzyła wzrokiem spódnicę w poszukiwaniu plamy.

Sara natychmiast padła na kolana i na klęczkach wycierała kawę.

— Jestem ostatnio roztrzępana... — mruknęła.

— To zrozumiałe, niczym się nie przejmuj.

Pani Wanda narzuciła na siebie ażurowy sweterek i zaśmiała się pod nosem, że w pokoju zrobił się mały ziąb. Pewnie przez okno, które na moment otworzyła Sara, by wygonić tę cholerną ćmę.

Dziewczyna zbliżyła się do okna, a każdy jej krok wywoływał głośne skrzypnięcie drewnianej podłogi starego domu. Przyjrzała się płatkom śniegu, które opadały na szybę. Przedziwne było to, że spośród ich niezliczonej ilości każdy miał inną strukturę, nie było dwóch takich samych. To dopiero prawdziwa magia, a nie jakieś tam dyskrypty.

— Grywasz jeszcze, Saro? — spytała terapeutka.

Dopiero gdy dziewczyna odwróciła głowę, zorientowała się, o co kobiecie chodzi. Pani Wanda wskazywała palcem pokrowiec na skrzypce oparty o szafkę nocną.

— Czasami.

Jeszcze zeszłej nocy siedziała na balkonie otulona kocem i przygrywała sobie *Dziwiątą Symfonię* Beethovena. Ot tak, żeby nie zapomnieć o nutach, ale także tego, jak się gra. Muzyka wydobywająca się z tego instrumentu była jedną z niewielu rzeczy, które przynosiły jej teraz ukojenie. Nie potrafiła pojąć, jak mogła nie grać przez rok, gdy mama zaginęła.

Pani Wanda omiotła wzrokiem pokój. Przyglądała się mrowiu kartek zapisanych różnymi symbolami i podłodze niemal w całości pokrytej białą kredą.

— Widzę, że nie próżnujesz.

Sara spojrzała na nią pytająco.

— Mam na myśli dyskrypty — dodała terapeutka.

— Nigdy w sumie nie pytałam, ale zna się pani na tym?

— Och nie, skąd. Zupełnie nie. Dla mnie to tylko szlaczki. Nie jestem związana z Urzędem w ten sposób. Moja rodzina po prostu zna się z animami od pokoleń. I tyle... I jak ci idzie?

— Ale co?

— No, nauka.

— A to tylko tak sobie bazgrzę — wskazała na regały z książkami — oprócz fabuł jest tu sporo literatury naukowej dotyczącej dyskryptów. Więc tak po prostu sobie zabijam.

— Co zabijasz, Saro?

Cisza zrobiła się wręcz bolesna.

— Czas zabijam, pani Wando.

— Zabijasz czas, mówisz... A zdarza ci się myśleć o śmierci?

Dziewczyna puściła to pytanie mimo uszu, bo wydawało jej się trochę żalosne. A ta cholerna ćma znów objęła się między regałami, wywołując nieprzyjemny szmer.

— Coś ci cały czas chodzi po głowie, Saro.

— Mam nadzieję, że to nie ta ćma.

Pani Wanda parsknęła śmiechem.

— Podzielisz się tą myślą?

— Nie daje mi spokoju jedna rzecz...

— Tak?

— Myślę o polonezie.

Na twarz terapeutki wpłynęła kwaśna mina.

— Jakim polonezie? — Po czym się rozpromieniła, jakby ktoś ją uszczypnął. — A no tak, bo teraz sezon studniówkowy! Zawsze mnie zastanawiało, czy to nazwa tańca czy utworu.

— Tańca, ale pisane są pod niego różne utwory.

— A no tak. Ty jesteś dobra w te klocki. Jesteś muzykalna.

— Nie potrafię sobie teraz przypomnieć nazwy kompozytora, który napisał ten najpopularniejszy. Ojciec zawsze cisnął mnie pod kątem klasyki zagranicznej. Nie sądził chyba, że polska kultura jest cokolwiek warta. A mi się wydaje, że bardzo się w tej kwestii mylił. Polska kultura to filar naszej osobowości.

— Gdybyś nadal mieszkała w Czernie, pewnie szykowałabyś się do studniówki.

— Może. Ale nie mieszkam.

Wszyscy poszli dalej, ale nie ona. Edukacja, studniówka, matura, studia — nic z tych rzeczy. Od roku nie widziała nikogo w swoim wieku. Osiemnaste urodziny przesiedziała na balkonie, grając utwory Mozarta, którego twórczość była głównie związana z Wiedniem. Wyobrażała sobie, że przechadza się uliczkami stolicy Austrii, a chłopak w kapturze trzyma ją za rękę. Nie zadaje pytań, po prostu jest. Sara czuje jego zapach i ciepło dłoni. Nic jej nie grozi, bo on jest obok.

Brzoskowie stawali na głowie, żeby jakoś umilić jej dzień osiemnastych urodzin. Snuli się po całym domu tanecznym krokiem, piekli dobre ciasta, a pan Brzoska nawet wzuł na siebie stare buty na wysokim obcasie i próbował stepować, bo ponoć kiedyś robił to na największych bankietach w Krakowie, a jego występy umilały czas najgrubszym rybom wśród animów. Teraz jednak miał już swoje lata. Przy każdym kroku jego mysie uszy trzęsły się i sapał niemilosiernie. Było to trochę słodkie, a trochę smutne. Ale tylko trochę. A potem siadał na fotelu i opowiadał historie, jak Kraków wyglądał przed laty.

— Nie masz czego żałować, mówię ci — przerwała jej rozważania pani Wanda. — Ludzie się upijają i robią głupie rzeczy. Studniówka jest przereklamowana. — Założyła nogę na nogę i posłała pacjentce serdeczny uśmiech. — Dobrze, zadam ci ostatnie pytanie i skończymy na dziś, dobrze?

Sara w odpowiedzi skinęła głową.

— Czy miewasz problemy ze złością?

— Oj nie. W ogóle.

Dwa dni wcześniej waliła pięścią w ścianę i wrzeszczała, że dłużej tak nie wytrzyma. Pani Brzoska szlochała nad garem zupy, aż całe futro na jej twarzy zrosiły krople łez, a jej mąż biegał za Sarą,

nadażając z ledwością, i mówił jej, że jeszcze trochę, że musi jeszcze poczekać. Ale ona już nie daje rady! „Ależ dasz, Saro, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje”. „Co za pieprzenie, to klatka, nie dom!”. Kreśliła na podłodze dyskrypt, a wszystkie meble zdawały się tańczyć. Zrozpaczona pani Brzoska: „Możesz jej powiedzieć, żeby przestała tak drapać w to drewno?! To mahoń! Dziewucha za nic ma dobre manieri! Nigdy nie potrafisz się nią zająć! Co z ciebie za mężczyzna?!”. Zasapany pan Brzoska: „Uspokójcie się obje, musimy nauczyć się żyć w zgodzie”.

— Czasami — po chwili namysłu dziewczyna skorygowała swoją odpowiedź.

Kobieta coś zapisała.

— Widzę, że twoje odrosty już praktycznie zniknęły.

— Tak, zgadza się, dobrze pani widzi, nie mam nawet dwudziestu lat i jestem w całości siwa.

— Do twarzy ci, naprawdę. I nie mówię tego, żeby cię pocieszyć, ale jako kobieta. Srebro we włosach dodaje uroku twojej młodej twarzy, która nie jest jeszcze skażona żadną zmarszczką. To ciekawa kompozycja. Bardzo zmysłowa. Jesteś piękna, Saro. Nietuzinkowa.

— Co mogę pani na to odpowiedzieć? I tak nikt na mnie nie patrzy poza panią, Brzorskami i okoliczną fauną.

To zdaje się rozbawiło panią Wandę.

— Zaproponuję ci taki eksperyment myślowy, dobrze, Saro?

— W porządku.

— Ilekroć w twojej głowie pojawią się jakieś agresywne myśli, spróbuj wyobrazić sobie coś dużego, co w nie uderza i doszczętnie niszczy. Może to być jakiś pojazd.

— Na przykład pociąg?

— O tak! Świetnie, to może być pociąg. I niech to robi w akompaniamencie muzyki z poloneza.

— To niedorzeczne.

— Doskonale, takie właśnie ma być! Możesz mi obiecać, że przynajmniej spróbujesz?

— Dobrze.

— Niech wjedzie w te myśli i rozgromi je w drobny mak.

Pani Wanda wstała i schowała notes do teczki. Wciąż z niegającym uśmiechem skierowała się do wyjścia. W milczeniu pokonała siedemnaście stopni — dokładnie tyle, Sara liczyła tysiące razy — i weszły do sieni, w której rozchodził się zapach zupy warzywnej. Pani Brzoska gotowała ją od dwóch godzin, a na jej mysiej głowie spoczywała chusta o kwiatowym wzorze. Za to jej mąż siedział przy stole i czytał gazetę. Miał na sobie przetartą tweedową marynarkę, a na jego głowie spoczywał kaszkiet, przykrywając siwe futro. Oblizywał palec i przewracał strony, jakby tylko przeglądał, ale nie czytał.

— A to już? — zdziwiła się pani Brzoska. — Co dziś tak szybko?

— Wystarczy — odparła pani Wanda, posyłając gospodyni serdeczny uśmiech.

— Dziękujemy pani — wychrypiał mężczyzna i ukłonił się nisko, zsuwając kaszkiet z głowy.

Atmosfera na dole wcale nie była lepsza od tej na górze. Sara podeszła do okna i wzrokiem odprowadziła terapeutkę do samochodu. Wsłuchiwała się w przytłumiony dźwięk silnika, aż w końcu przestrzeń wypełniła głucha cisza.

Zlustrowała wzrokiem okolicę.

Para znad garnka unosiła się wysoko i kotłowała pod sufitem. Dębowy stół i ręcznie rzeźbione krzesła znalazły swoje miejsce na środku pomieszczenia. Z otwartych okien wlewało się słabe światło,

a drobiny kurzu unosiły się w powietrzu, tworząc poświatę, która była na swój sposób urokliwa. Już zmierzchało.

— I jak było? — spytał mężczyzna.

— Dobrze, wuju — odparła beznamietnie. — Kiedy to wszystko się skończy?

Pan Brzoska odchrząknął — to był najwyraźniej jego sposób radzenia sobie w sytuacjach patowych.

— Tkwimy tu tak długo — ciągnęła Sara. W jej głosie było słychać złość i rozgoryczenie, ale i smutek, który przedzierał się gdzieś niedługo, bardziej wyrazisty wtedy, gdy kończyła zdanie. — Ile to już czasu? Rok? Może więcej. Wiem, że nie jest wam łatwo, wiem, że to ustalenia, które są poza waszą kontrolą, że to dla mojego dobra, ale nie dam rady tak dłużej.

Pani Brzoska zaczęła uderzać łyżką o ścianki naczynia, jakby w ten sposób chciała znaleźć ujście narastającemu napięciu.

— To wszystko przez ciebie, stary durniu! — zwróciła się do męża. — Za bardzo ją rozpuściłeś! Teraz wyobraża sobie nie wiadomo co. Siadaj, Saro, jedz. To nie twoja wina, tylko jego.

— Zamilcz, kobieto! Ja przynajmniej dla niej coś robię!

— A ja nie?!

— Przestańcie! — krzyknęła Sara. — Nie możemy raz normalnie porozmawiać?

Zatem rozmawiajmy, zdawały się mówić ich miny. Kobieta nałała zupę i wszyscy zasiedli do kolacji.

— Ile jeszcze? — spytała dziewczyna, mierząc ich poważnym spojrzeniem.

Pan Brzoska zgarbił się, niemalże schował głowę w talerz. Nie ściągnął kaszketu, przez co za każdym razem, gdy się schylał, prawie maczał wełnianą kośćcówkę w zupie.

— Nie wiemy, Saro. Przecież wałkujemy ten sam temat codziennie. Petroniusz powiedział...

— Tak, wiem, że muszę przestać istnieć — dokończyła. — No to udało się. Nie istnieję. Ja chciałabym po prostu wiedzieć... co dalej?

— Nie podważaj słów Petroniusza, Saro, to jednak akademik, tak nie wypada... — wtrąciła gospodyni i pokręciła głową z dezaprobatą.

— On już nawet pewnie nie kontaktuje z rzeczywistością. Wiem, że mam przestać istnieć, ale, na dyskrypty rozpaczy, ile mogą mnie tu trzymać? Nie widziałam brata od roku. Siedzimy tu jak na skazaniu, odcięci od świata. Wuju, ciociu, zrozumcie, to dla mnie nie do zniesienia. Jestem już kobietą, a wylądowałam gdzieś na końcu świata. Miałam mieć za pół roku maturę. Nic nie zostało z mojego życia. Jestem totalnym wrakiem. Nie ukończyłam nawet szkoły średniej. Moja przyszłość jest już przekreślona. Gdy Urząd się ode mnie odwróci, zostanę z niczym, rozumiecie? Z niczym.

— My nigdy byśmy...

— Nie kończ, wuju, nie wciskaj mi kolejnych słów, które nic nie znaczą.

— Kochana, mówiłem już, że musisz...

— Że muszę przestać istnieć! Wiem! I co mam zrobić, żeby tak się stało? Zabić się? Przecież chcę to zrobić, tylko pomóżcie mi załatwić te pieprzone tabletki, inaczej nie potrafię!

W tym momencie pani Brzoska zakrzuszyła się łykiem zupy, a jej mąż pocierał spocone dłonie, jakby nagle zaczęły mu marznąć. Mężczyzna jak ognia unikał wzroku Sary. W pokoju rozległ się cichy płacz i pochlipywanie kobiety, którą dziewczyna traktowała jak własną rodzinę.

— Przepraszam — wydusiła z siebie dziewczyna. — Nie powinienam tak mówić. Nie chciałam wam sprawić przykrości.

Pan Brzoska wyłuskał z kieszeni chustę we wzorki i zaczął pocierać nią futro na czole, które zrosiły kropelki potu.

— Saro, przecież wiesz, że jesteś dla nas jak córka. Gdybyśmy cię stracili jak Liwię...

— Ktoś chce dokładkę? — zapytała gospodyni.

Z początku było tu nawet znośnie. Spędzanie czasu w takim miejscu pomogło ukoić Sarze ból po stracie i pozwoliło zebrać myśli. Problem pojawił się wówczas, gdy cisza świdrująca każdy zakamarek tego miejsca stała się wręcz bolesna. Gdy rzeczywistość próbuje się o siebie upomnieć, a każdy tydzień staje się kolejną niekończącą się podróżą międzygwiazdą.

Wieczory spędzała zazwyczaj na głębokich rozważaniach. Sporo czasu poświęcała na przypomnianie sobie twarzy bliskich (nie miała ich zdjęć, nie zdążyła do domku zabrać nic osobistego).

Teraz leżała na boku na swoim łóżku i wpatrywała się w okazałych rozmiarów lekturę, której pozłacany napis *Władca Pierścieni* prezentował się intrygująco. Pomyślała, że sama jest jak ten pierścień dzielnie dzierzony przez Froda Bagginsa. Państwo Brzoskowie traktowali ją z podobnym zaangażowaniem jak hobbit swoją przesyłkę. Z tą różnicą, że jej nie chcieli zniszczyć. A przynajmniej taką żywiła nadzieję.

Myślała o tym, że powinna wyprawić sobie jakąś osiemnastkę. Powinna zaprosić gości, legalnie się spić, urznąć do nieprzytomności i tańczyć w rytm muzyki klubowej. Powinna się jeszcze z kimś przespać, a potem powiedzieć, że to nie jej wina, bo była pijana. Że takie rzeczy się dzieją, bo to normalne. A potem zaśmiać

się jak idiotka i wrzucić z tego fotkę do sieci. Tak zwyczajnie, jak wszyscy.

Mroźne powietrze dostawało się każdą szczeliną na poddaszu i muskało delikatnie jej twarz. W pokoju panował półmrok, a światło księżyca, niepokojąco jasnego tej nocy, rzucało cień na jedną ze ścian. Firany kołysały się lekko pod wpływem przeciągu, a świeczka, która paliła się na stoliku, już dogasała.

Sarę znów przeszedł dreszcz. Miewała ataki paniki, gdy robiło się już ciemno i przypominała sobie o Koziogłowym. Zatopiła twarz w poduszce i liczyła, że zaraz strach ją opuści. Bała się spojrzeć przed siebie, bo nie mogła pozbyć się wrażenia, że gdy otworzy oczy, on będzie stał przed nią. Teraz każde, nawet najmniejsze skrzypnięcie podłogi sprawiało, że serce podskakiwało jej do gardła. Zaczynało się od lekkiego ucisku w klatce piersiowej, w okolicach żołądka, potem ból przechodził wyżej, do płuc. Oddech stawał się płytszy. Coraz trudniej było wziąć kolejny wdech. Wentylowała się coraz szybciej. Organizm dostawał za dużo tlenu, a jednak nie opuszczało ją uczucie, że się dusi. Robiło jej się słabo i... wtedy na moment umierała.

I tak każdego wieczoru, każdej nocy.

Pan Brzoska wielokrotnie proponował, że może drzemać na bujanym fotelu, że to nie problem, ale już nie chciała, by traktowano ją w ten sposób. Była już dorosła, musiała radzić sobie sama. Kiedyś wspomagała się hydroksyzyną. Jedna tabletką ją kołoiła i mogła zasnąć. Tutaj marzyła o chemii, ale nawet warzywa z ogródka były niepryskane.

Czasami, by odciągnąć myśli, gdy bezsenność stawała się jej nieodłącznym przyjacielem, kreśliła na ziemi dyskrypty. Leżała na łóżku i kilkoma ruchami ręki układała książki na półkach, oczywiście zgodnie z nazwiskami autorów. Największy problem miała

z *Serią Niefortunnych Zdarzeń*, bo nie wiedziała, czy układać ją zgodnie z nazwiskiem Lemony Snicket, czy Daniel Handler. Czasami miała mu szczerze za złe, że tak skomplikował sprawę.

Miewała trudności w panowaniu nad dyskryptami, więc zdarzało się i tak, że w środku nocy cały regał z hukiem uderzał w ziemię. Doprowadzało to panią Brzoskę do szaleństwa i wówczas Sara musiała wysłuchiwać jej tyrady żalu.

Tej nocy jednak nie miała ochoty na żadne dyskrypty. Po jej czole spłynęła kropla potu. Sara próbowała ze wszystkich sił oddalić od siebie myśli o Kerekeszu i iść spać.

Przeraziła się do szpiku kości, gdy jedna z desek na korytarzu zaskrzypiała. Jej palce zdrętwiały, a szyja zeszywniała. Gdyby rzeczywiście stał nad jej łóżkiem, nie zdążyłaby nawet powiedzieć „żegnaj”, a wbiłby nóż w jej delikatne ciało i je rozplątał. Mogłaby leżeć w zakrwawionej pościeli z pustym, martwym wyrazem twarzy. Na Brzosków czekałaby z rana niezapomniana niespodzianka. „*Surprise*, kochani!”

Znów. Kolejny cichy szmer, tym razem przy drzwiach. Dziewczyna z wielkim trudem przełknęła ślinę. Biła się z myślami, czy powinna kogoś zawołać, jednak jeśli to naprawdę był on? Mogłaby wykorzystać to, że nie śpi. Napastnik o tym nie wiedział, jak również o tym, że dziewczyna już od dawna sypia z kuchennym nożem ukrytym pod łóżkiem. Wystarczyło wyciągnąć rękę, krótka chwila i mogła zadać śmiertelny cios. Wówczas podłogę ścieliłaby wnętrzości Augustyna Kerekesza, nie jej. Sytuacja odwróciłaby się o sto osiemdziesiąt stopni.

Oddychała gęęboko, ale cicho. Nie chciała stracić swojej największej przewagi. Spojrzała w stronę drzwi. Odliczyła trzy sekundy. Przechyliła głowę, ale nic nie dostrzegła. W pokoju było ponuro.

Falująca firanka wzmocniała efekt strachu. Scenografia jakby żywcem wyciągnięta z powieści Stephen Kinga. Pomyślała, że jej się zdawało, jednak na wszelki wypadek dobyła noża i ostrożnie wysliznęła się spod pościeli. Rozejrzała się dookoła i na palcach podkradła pod drzwi. Zerknęła przez dziurkę od klucza i...

Pusto.

Gdy już się miała odwrócić, kątem oka dostrzegła, że coś przemknęło za drzwiami. Usłyszała kołatanie własnego serca. Już nawet nie układała w głowie planu, gdyż jej myśli były pogrążone w chaosie. Wrzasnęła, gdy spostrzegła zwierzęcą głowę.



„Małopolskie FakTy!” Twoje okno na świat! *Rodzina jak z koszmaru:*

Czerno — to tutaj doszło do tragedii, która przypomina bardziej scenariusz na hollywoodzki horror niż zwyczajne życie na polskiej prowincji.

Przed rokiem państwo K. zgłosili zaginięcie czterdziestojednoletniej kobiety. Był październik, matka sześciolatniego chłopca i szesnastoletniej dziewczyny wyszła z domu, ale już nie wróciła. Zaginionej szukała lokalna policja i prywatni detektywi z Warszawy, jednak jak twierdziła prokuratura — nic nie wskazywało na porwanie.

Wydawało się, że życie rodzinne państwa K. wróciło do normy — jeśli po takiej tragedii możemy w ogóle mówić o czymś takim jak normalne życie — lecz po roku do wykazu osób zaginionych dołączyła również córka kobiety, siedemnastoletnia już wówczas dziewczyna. Sprawą zainteresowały się pobliskie media, a gdy do listy zaginionych dołączył też chłopiec — media ogólnopolskie.

O sprawie zrobiło się głośno. Oskarżenia padły na mężczyznę.

Niespodziewanie — a wydarzyło się to jednego dnia — odnaleziono dziewczynę, brata i matkę. Dzieci były całe, niestety ciało czterdziestojednoletniej kobiety w stanie rozkładu wykopano w pobliskiej wiosce Młynowo. Z nieoficjalnych doniesień wynika, że mogła być poddawana torturom.

„Małopolskie FakTy!” Twoje okno na świat! Usłyszałeś jakąś historię? Masz coś ciekawego do powiedzenia, ale nikt cię nie słucha? Skontaktuj się z nami!

Prokuratura nie stwierdziła udziału w zbrodni męża kobiety i oczyszczono go ze wszelkich zarzutów, jednak opinia publiczna nie pozostawiła na nim suchej nitki. Jakiś czas później wyprowadził się razem z rodziną z Czerna. Na potrzeby artykułu próbowaliśmy się z nim skontaktować, jednak jest nieosiągalny. Nie jest już również pracownikiem krakowskiej kancelarii, a syn i córka nie uczęszczają do żadnej szkoły i również są nieosiągalni.

Pytanie więc nasuwa się samo...

Czy mężczyzna dokończył dzieła?





ROZDZIAŁ II

Nocna wizyta

Sara wzięła największy oddech świata.
— Musisz mnie tak straszyć, wuju, mało tu nie zesłałam na zawał.
Od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Dawno nie widziała, by był tak przejęty. Błądził mętnym wzrokiem to po jej twarzy, to po suficie.
— Pakuj się, i to prędko.
— Jak to? Dlaczego?
— Nic nie wiem, kochanie, kazali cię zabrać. Zaraz tu po ciebie będą.
— Kto będzie?
— Nie wiem.
Jej oczy się zaszklily.
— Nie, wuju, proszę.
— Nie prosz mnie o coś, na co nie mam wpływu.
— Boję się.

Pan Brzoska zanurkował dłonią w kieszeni i wyłuskał z niej chustę. Przetarł spocone futro na twarzy i poprawił krawacik.

— Ja też.

Wszystko działo się tak szybko, że noc ta zaczęła przypominać Sarze pokaz slajdów. Nim się zorientowała, stała już na dole ze spakowaną torbą. Chciała pożegnać się z panią Brzoską, ale kobieta była cała roztrzęsiona.

— Idź już, Saro — skwitowała.

Oślepił ich blask reflektorów dwóch pojazdów, które wjechały na podwórze. Kolejny pokaz slajdów i dziewczyna zmierzała do samochodu, a Pan Brzoska szedł obok, trzymając ją pod rękę. Mgnienie oka i już zajmowali tylne siedzenia. Chwyliła wuja za rękę. „Będzie dobrze, Saro” — zdawał się mówić wyraz jego twarzy.

Dziewczyna rozejrzała się po kabinie. W środku siedziało trzech mężczyzn ubranych w garnitury i zielone muszki. Jeden w stylu staropolskim — nie miała złudzeń, że ten był animem — zasnął, schowany pod szerokim rondem kapelusza. Chrapał tak głośno, że gdyby tylko szyba była otwarta, zbudziłby pół wsi. Protektor, który prowadził pojazd, oddał się gorączkowej dyskusji z jakimś drugim, który siedział obok pana Brzoski. Spierali się, który z nich miałby większe szanse u jakiejś kobiety i którego z nich chciałaby mieć. Zachowywali się jak para dziesięciolatek i używali równie dojrziałych argumentów.

Najdziwniejsze było to, że nikt nawet nie spojrział na Sarę. Wszyscy zachowywali się tak, jakby ona w istocie przestała... istnieć.

— Będzie dobrze, będzie dobrze — mruczał pod nosem pan Brzoska, jakby bardziej próbował przekonać siebie niż ją.

— Gdzie jedziemy, wuju? — pozwoliła sobie na pytanie Sara.

— Nie wiem. Do Krakowa chyba.

Do Krakowa? Czy naprawdę mogliby jechać... do domu?

Wpatrywała się w reflektory mijanych pojazdów. Nie była nawet w stanie stwierdzić, czy jechali pół godziny, czy dwie. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Puściła rękę wuja, bo nie mogła znieść tego, że trząsał się, jakby dostał jakiegoś ataku.

— Nie pozwolę cię skrzywdzić, kochanie, nie pozwolę... — szepnęła. — Przysięgam, na miłość Petroniusza.

Gdy się zatrzymali, pan Brzoska niemal wyszarpał ją z pojazdu, bo zrobiło jej się tak słabo, że nogi odmówiły posłuszeństwa. Musiał ją prowadzić pod ramię.

Anim i dwóch protektorów odpalili papierosy i prężnym krokiem skierowali się w stronę windy, a stukot ich butów niósł się echem po całym pomieszczeniu wypełnionym po brzegi pojazdami. Teraz do Sary dotarło, że znajdowali się na parkingu pod budynkiem sali rozpraw. Pamiętała to miejsce, gdy po raz pierwszy zabrano ją tutaj i postawiono przed ławą akademików.

Naraz ktoś jeszcze wziął ją pod ramię. Ujrzała twarz Felicji Biel, jej piękną cerę, wydatne usta i duże niebieskie oczy. Kobieta była ubrana w długi płaszcz do kostek, na jej szyi widniała czarna muszka, a w prawej dłoni dzierżyła laskę, której uchwyt przedstawiał lisie popiersie.

Sara nie mogła złapać tchu. Przeszło jej nawet przez myśl, że to mogą być zwidy. Była tak odseparowana od rzeczywistości, że jej mózg mógł wytworzyć sobie sztucznych przyjaciół. Zwłaszcza teraz.

Kobieta ucałowała ją w głowę i powiedziała:

— Bądź dzielna. Nie damy ci zrobić krzywdy.

Wszyscy to powtarzali. Jaką krzywdę jej chcieli zrobić?

— Co mi zrobić? — wydusiła z trudem.

— Są bardzo silne naciski wielu wpływowych grup. Wśród akademików też jest rozłam, ale damy radę. Pamiętaj, że oni się boją, to wszystko ze strachu. Nikt tu nie żywi do ciebie nienawiści.

Patronat się za tobą wstawi, Hugon to załatwi, obiecuję ci. Protektorat też. Jego ławie przewodzi moja siostra, Wiara Biel. Będziemy mieli ławę po swojej stronie.

W tym momencie Felicja spozrzała na nią w taki sposób, jakby się miała zaraz rozplakać.

— Ty nic nie wiesz? Zupełnie nic?

Sara zorientowała się, że już nie idzie o własnych siłach, a jest praktycznie niesiona przez pana Brzoskę i Felicję. Rok życia na odludziu wykończył ją do tego stopnia, że teraz ciało odmówiło jej posłuszeństwa, gdy sprawa zrobiła się poważna.

— Strasznie mi słabo...

Czuła się jak sparaliżowana. Widziała w myślach siebie spiętą pasami, których rzemień zaciskał się na jej czaszce. Toczyła pianę z ust, a przynajmniej w swoich wyobrażeniach. A może podali jej coś zwiotczającego mięśnie? I to w dodatku w końskiej dawce? Analizowała naprędce, czy łyknęła coś, co jej podali.

— Pomóż jej — mruknął do Felicji pan Brzoska.

Kobieta nakreśliła na ziemi niewielki dyskrypt i skierowała dłoń w stronę Sary. Naraz dziewczyna poczuła ogromną ulgę. Przyjaciółka całkowicie uspokoiła jej układ nerwowy.

— Daj, ja ją wezmę, jest taka słabiutka — ciągnął mężczyzna i chwycił Sarę pod ramię. — Ty upewnij się, że twoja siostra nie da ciała.

— To moja rodzina, mogę za nią ręczyć. Poza tym jest z nami Petroniusz.

— Uważasz, że Petroniusz ma jeszcze jakiś głos? Jego demencja postępuje, on jej już pewnie nie pamięta.

— To Weroniczem, Arnoldzie, on zawsze ma jakiś głos, choćby umysł miał mglisty jak noc.

— Co się dzieje? — spytała słabym głosem Sara.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — zapewniła Felicja.

Pewna natrętna myśl pojawiła się w umyśle dziewczyny. Uciekaj. Może powinna czym prędzej wyrwać się z objęcia i doczołgać się do jakiejś szczeliny. A potem w dół wąskim przesmykiem. Tak wąskim, że jeśli nawet nie cierpiała na klaustrofobię, to w tym momencie ta dałaby o sobie znać. A potem do kanałów i ściekami za miasto. Czy mogła im ufać?

— Stop! — wrzasnęła, chociaż nie miała pojęcia, skąd wzięła na to energię. — Co się dzieje?

Pan Brzoska wymienił z Felicją spojrzenia.

— Saro, chcę cię skazać na śmierć... — odparła kobieta.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	
Ale ostatnie	5
ROZDZIAŁ II	
Nocna wizyta	26
ROZDZIAŁ III	
Niespodziewany gość	32
ROZDZIAŁ IV	
Niejaki Ignacy Hundorf	44
ROZDZIAŁ V	
Sierociniec pani Majer	71
ROZDZIAŁ VI	
Do wieży wstęp wzbroniony jest	107
ROZDZIAŁ VII	
W drodze do Poznania	130
ROZDZIAŁ VIII	
Gościnność animów	151
ROZDZIAŁ IX	
Powrót do przyszłości i przysięga	172

ROZDZIAŁ X Wioska nad jeziorem	199
ROZDZIAŁ XI Starzec i wyspa	217
ROZDZIAŁ XII Na południe	236
ROZDZIAŁ XIII U Trosków	257
ROZDZIAŁ XIV Kolos na glinianych nogach	272
ROZDZIAŁ XV Jezioro na końcu drogi	307
ROZDZIAŁ XVI Anim w klatce	330
ROZDZIAŁ XVII Ostatnia stacja	348
ROZDZIAŁ XVIII Do taktu	373

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Nie jesteś bezpieczna, Saro Kos

Od niezwykłych wydarzeń, które spotkały Sarę, minęło wiele miesięcy, ale ona nieustannie przywołuje je na nowo. Dramatyczne sceny z rodzinnego domu pamięta aż nazbyt dobrze: tłum pracowników urzędu, Hugona Reya ciągnącego za rogi Kerekesza, akademika Petroniusza klęczącego nad ciałem jej brata i mamę... martwą i zimną jak lód. Wciąż wraca wspomnieniami do tego, co przeżyła u boku Arona Wysokiego: razem przemierzali krakowskie kanały, rozwiązali sprawę Omara Pernusa, gościli w kasynie pod Wawelem. I o mały włos nie zginęli, gdy porwał ich rwący nurt ścieków.

Potem Aron zniknął. Porzucił Sarę na odludziu, na które skazał ją Urząd do Spraw Dziwnych i gdzie dziewczyna powoli dochodzi do siebie. A on? Czyżby całkowicie o niej zapomniał? Czy może być jakiś inny powód, dla którego chłopak milczy? I jak długo będzie trwało wygnanie Sary Kos?

Wszystko się nagle zmienia, gdy Urząd do Spraw Dziwnych planuje skazać dziewczynę ...

Kontynuacja

URZĘDU DO SPRAW DZIWNYCH



Patroni medialni:



beyA 16+
beya.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-0305-0



9 788328 903050

Cena: 49,90 zł